

Tymczasowa Rzeczpospolita

19 listopada 2014

Okazuje się, że w czymś jesteśmy naprawdę dobrzy. Istnieje konkurencja, w której Polska należy do ścisłej światowej czołówki. Jako wolnorynkowi neofici od 25 lat mamy kompleks bycia docenianymi w kapitalistycznym wyścigu, dlatego z uwagą śledzimy wszelkie rankingi i analizy, które potwierdzą skuteczność naszych starań. I właśnie dlatego hucznie obchodzimy każdy skok o kilka pozycji w corocznym raporcie Doing Business, wskazujący, że zagranicznym korporacjom jeszcze łatwiej jest zarabiać w naszym kraju wielkie pieniądze. Z tego samego powodu pieszczotliwie celebrujemy każdy ciepły artykuł o nas w „The Economist”, dzięki któremu możemy się przekonać, że jesteśmy prymusem przemian w naszym trudnym regionie, sprawiającym od lat głównie problemy. Nic dziwnego, że gdy pojawiła się na horyzoncie konkurencja, która leży jak najbardziej w naszym zasięgu, jest w sumie dosyć prosta, a jednocześnie w globalnych zawodach niezwykle istotna, postanowiliśmy być w niej najlepsi. Jaka to konkurencja? „Ustanawianie reżimu elastyczności”. W skrócie – uelastycznianie.

Mniej więcej od lat 80. XX wieku (a w zasadzie to już od drugiej połowy 70.) zachodnia gospodarka zmieniła swój paradygmat. Jej głównym motywem i zasadą przestało być już zaspokajanie potrzeb całej społeczności, a stało się osiąganie przeróżnych „wymiernych celów”, zawartych w liczbach, wykresach i tabelkach, takich jak poziom inflacji czy tempo wzrostu PKB. Przy okazji nadal zaspokaja się potrzeby, jednak są to potrzeby dużo bardziej wybujałe i najczęściej dotyczą już tylko wąskich grup ludzi. Coraz bardziej wyśrubowane cele potrzebowały nowego wymiaru efektywności, a ten wymagał pełnej elastyczności – tak, aby już nigdy żadna minuta opłacanej pracy nie zmarnowała się pod postacią relaksującej chwili patrzenia się w sufit czy spokojnego wypicia ciepłej kawy.

Powstało więc zjawisko pracy just-in-time, dostarczanej w idealnym momencie i w idealnych proporcjach, a opłacanej tak, by broń Boże nie przepłacić ani dolara. Wraz z nim pojawiły się tabuny prekariuszy, czyli ludzi całe dni siedzących jak na szpilkach z ręką na telefonie, czekających na łaskawy znak od pracodawcy, że dziś mogą przyjechać popracować w takim i takim czasie, ale muszą stawić się na miejscu równo za półtorej godziny. Jeśli ktoś nie wie, o czym mówię, to niech popracuje choćby miesiąc za pośrednictwem agencji pracy tymczasowej. Ten odczłowieczony system wyprodukował tabuny ludzi żyjących od zlecenie do zlecenia, bez jakiegokolwiek możliwości długoterminowego planowania, nie mówiąc już o takich fanaberiach jak założenie rodziny czy rozwój zawodowy. Ewentualnie, jak już naprawdę dobrze pójdzie, pracują na dwuletniej umowie o pracę, którą w każdej chwili pod byle pretekstem mogą stracić z dwutygodniowym wypowiedzeniem, trwając w napięciu aż do ostatniego dnia umowy – bo oczywiście nikt im wcześniej nie zdradzi, jakie są plany firmy wobec nich. To właśnie jest prekariusz – człowiek poddany reżimowi tymczasowości i elastyczności pod dyktando współczesnej gospodarki, której cele już dawno oddzieliły się od potrzeb większości ludzi.

Od czasu nastania jedynowładczych rządów efektywności wszelkie postulaty wskazujące na potrzebę stabilizacji zatrudnienia są szybko zbywane argumentem mówiącym, że na takich zasadach zatrudniać się nie da, bo „wymagania rynku nie pozwalają”, „sytuacja jest zbyt zmienna” itd. Mało kto zwraca uwagę na niewygodny fakt, że przez okres kilkudziesięciu lat po wojnie jakoś się dało – praca była stabilna, pracownicy spokojni o swój o byt, a gospodarka miała się świetnie. Nie przynosiła ona jednak wtedy tak bająćskich sum pracownikom sektora finansowego, szefom międzynarodowych korporacji czy innym CEO, dyrektorom generalnym, wykonawczym etc. A to wyżej wymienionych wyjątkowo uwierało, więc ochoczo skorzystali z szansy, jaką dała im globalizacja, by zainspirować procesy, które zmieniły ten stan. Swoją drogą: w którym kierunku jako

ludzkość idziemy, skoro argument egzystencjalny („tak się nie da żyć!”) przegrywa sromotnie z argumentem rentowności („nie ma na to pieniędzy”)?

Właśnie w tej konkurencji staliśmy się zawodnikiem klasy światowej. We wszystkich rankingach badających elastyczność zatrudnienia nasz kraj plasuje się w ścisłej czołówce, a w wielu z nich prowadzi. Najpopularniejszym wskaźnikiem mierzącym elastyczność jest odsetek pracowników pracujących na umowach terminowych – są to umowy cywilnoprawne, umowy o pracę tymczasową i umowy o pracę na czas określony. W najnowszej edycji raportu OECD Employment Outlook nasz kraj jest na drugim miejscu na świecie i na pierwszym miejscu w UE. Aż 26,9 proc. wszystkich zatrudnionych w Polsce stanowią pracownicy terminowi. Wyprzedza nas jedynie... Chile, którego model gospodarczy ukształtowali przed laty liberalni ekonomiści ze szkoły chicagowskiej. W tym kraju odsetek pracowników terminowych wynosi 29,7 proc. Cały cywilizowany świat jest daleko za nami. Z państw UE najbliżej nas jest Hiszpania (23,1 proc.), w której sytuacja na rynku pracy uchodzi za wyjątkowo tragiczną. Następna jest Portugalia (21,5 proc.), a więc kolejny kraj przechodzący w ostatnim czasie ogromne kłopoty gospodarcze. W pozostałych krajach UE wskaźnik ten wynosi poniżej 20 proc, a w stabilnych i prężnych gospodarkach nie przekracza nawet 10 proc. (np. w Danii jest to 8,8 proc., w Austrii 9,2 proc.). Nie musimy jednak porównywać się z państwami skandynawskimi. W Czechach pracownicy terminowi stanowią zaledwie 9,6 proc. zatrudnionych, na Słowacji 7 proc., a na Węgrzech 10,8 proc.

Najbardziej druzgocąca jest jednak dynamika i kierunek, w jakim zmierzamy. Pod tym względem jesteśmy zupełnie bezkonkurencyjni. O ile w innych krajach prekaryzacja przebiega stopniowo, gdyż wciąż w wielu obszarach gospodarki spotyka się z oporem pracowników, to w wolnorynkowo neofickiej Polsce rozpędziła się do tempa Usaina Bolta. W latach 1998-2012 odsetek umów terminowych w naszym kraju wzrósł aż o

22,2 pkt. proc. Jeszcze w 1998 r. umów takich było zaledwie 4,7 proc. Tempo iście sprinterskie, zwłaszcza na tle reszty peletonu. W Unii Europejskiej w konkurencji prekaryzowania obywateli na czas drugie miejsce ma Słowenia ze wzrostem... 12,7 pkt. proc. – a więc niemal 10 pkt. proc. za nami! Trzecia Holandia ma już wynik tylko jednocyfrowy – 6,5 pkt. proc. Jak widać odsadzamy resztę świata w tempie oszałamiającym. Jeśli je utrzymamy, to za kilkanaście lat wszyscy będziemy prekariuszami. Marnym pocieszeniem jest, że będą nimi także pożyteczni idioci, którzy z amerykańskim uśmiechem na ustach wspierają ten model, twierdząc, że umowa śmieciowa jest najlepszym wstępem do stabilnej i dobrej pracy. Gdy po 15 latach nadal będą pracować na umowie zlecenie z niespecjalnie wysoką stawką, może dotrze do nich, w jak wielkim błędzie tkwili. Na refleksję będzie już wtedy jednak trochę zbyt późno.

Umowa śmieciowa jako wstęp do dalszej kariery to właśnie jeden z mitów upowszechnianych przez zwolenników prekaryzacji społeczeństwa. Nawet jeśli gdzieś na świecie ta idiotyczna teza się potwierdza, to na pewno nie w Polsce. Wręcz przeciwnie, jesteśmy przykładem tego, że najlepszą drogą do zostania prekariuszem jest już podpisanie pierwszej umowy śmieciowej. Wśród państw OECD jesteśmy na drugim miejscu za Hiszpanią pod względem liczby pracowników pracujących na umowie terminowej przez ponad trzy lata. Stanowią oni u nas 17,4 proc. wszystkich zatrudnionych. Według OECD tylko 35 proc. zatrudnionych w Polsce na umowach terminowych ma szanse na stabilne zatrudnienie w ciągu trzech lat. Potwierdzają to polskie badania POLPAN, które sprawdziły jak przebiegały kariery osób pracujących w 2008 r. na umowach cywilnoprawnych. Okazuje się, że po 5 latach, czyli w 2013 r., 58 proc. z nich wciąż pracowało na umowie śmieciowej lub wcale, 5 proc. przeszło na samozatrudnienie, a etat w ciągu 5 lat zdobyło jedynie 37 proc. W środowisku badaczy rynku pracy krąży już opinia, że dużo łatwiej o etat będąc bezrobotnym, niż pracując na umowie cywilnoprawnej. I niech każdy o tym pamięta,

podpisując pierwszą lub kolejną umowę zlecenie. Jeśli tylko sytuacja materialna na to pozwala, lepiej poszukać pracy trochę dłużej, niż wchodzić przy pierwszej okazji w tryby elastycznego zatrudnienia, gdyż wyjść z nich może być bardzo trudno.

Kolejnym wymiarem zjawiska prekaryzacji pracy jest odsetek samozatrudnionych w ogólnej liczbie zatrudnionych. W tej dziedzinie także jesteśmy w ścisłej czołówce, w towarzystwie, które chluby nam nie przynosi. Wokół nas znowu są same kraje z grupy PIGS, a więc te przeżywające obecnie największe problemy w UE. Liderem samozatrudnienia w UE jest Grecja – tam aż 36,8 proc. zatrudnionych pracuje na samozatrudnieniu. Kolejne Włochy to odsetek 25,1 proc. Na trzecim miejscu jesteśmy już my, z wynikiem 22,4 proc., a za nami jest Portugalia. W rozwiniętych, stabilnych gospodarczo krajach ten odsetek jest zwykle jednocyfrowy – nawet w USA, które przecież uchodzą za Mekkę przedsiębiorczości, wynosi on zaledwie 6,8 proc. Wskaźnik ten jest dużo niższy także w większości krajów naszego regionu – np. na Węgrzech wynosi 11,7 proc. Oczywiście zaraz ktoś może zakrzyknąć, że przecież samozatrudnieni to żaden prekariat, lecz prężni przedsiębiorcy biorący sprawy w swoje ręce. Wolne żarty – przymusowe wysyłanie pracowników na samozatrudnienie to jeden z bardziej popularnych sposobów prekaryzowania tylnymi drzwiami, a więc pozbawiania pracowników elementarnych praw w postaci chociażby płatnego urlopu czy przerzucania na nich ryzyka do tej pory ponoszonego przez pracodawcę. A także obciążania ich całą masą dodatkowych obowiązków, takich jak samodzielne rozliczanie się z fiskusem czy z ZUS-em.

Najlepszym dowodem na to, że przeciętny polski samozatrudniony to nie żaden przedsiębiorca, lecz zwyczajny prekariusz, jest raport Global Entrepreneurship Monitor 2013, badający przedsiębiorczość w poszczególnych krajach na świecie. Jego wyniki wykazują, że pod względem odsetka przedsiębiorców, którzy zostali zmuszeni do założenia firmy (sytuacją na rynku

pracy lub wprost szantażem pracodawcy), Polska znów znajduje się na podium, z wynikiem 47 proc. Inaczej mówiąc, prawie połowa polskich „przedsiębiorców” wcale nie chciała być przedsiębiorcami. I na dobrą sprawę duża część nadal nimi nie jest – trudno uznać za przedsiębiorcę chociażby pielęgniarkę kontraktową, która cały czas pracy spędza w jednym szpitalu. Najciekawsze jednak jest otoczenie, w jakim znaleźliśmy się wśród liderów przymuszania do samozatrudnienia. Przedstawię pierwszą szóstkę, by każdy mógł się napawać tym widokiem: Macedonia (61 proc.), Bośnia (59 proc.), Polska (47 proc.), Filipiny (44 proc.), Malawi (44 proc.), Jamajka (41 proc.). Jak widać pod pewnymi względami jesteśmy już pełnoprawną częścią trzeciego świata.

Prekaryzacja społeczeństwa wiąże się, jak wspomniałem, z pozbawieniem go elementarnego zabezpieczenia socjalnego. Trudno nazwać prekariuszem Duńczyka, który co prawda umowę o pracę ma dość elastyczną, ale zabezpieczenie na wypadek bezrobocia ma na poziomie niewyobrażalnym dla Polaka. A gdy już straci pracę, to odpowiednie instytucje publiczne wręcz rzucają się, aby możliwie szybko znaleźć mu dobrą pracę. Tymczasem w Polsce Urzędy Pracy służą niemal wyłącznie do rejestracji bezrobotnych. Podobnie żałośnie wygląda sam poziom zabezpieczenia społecznego – aż ok. 85 proc. bezrobotnych w Polsce nie ma prawa do zasiłku. I jest to właśnie konsekwencja m.in. stopnia sprekaryzowania polskiej siły roboczej. Żeby dostać zasiłek, trzeba bowiem przepracować w ciągu 18 miesięcy przynajmniej 365 dni, opłacając składki od co najmniej równowartości pensji minimalnej. W takiej sytuacji prekariusze, których zatrudnienie z reguły nie jest na tyle stabilne (a nawet jeśli, to zwykle opłacają niewystarczające składki, np. od swojej najniższej umowy zlecenie), mogą jedynie pomarzyć o zasiłku. Jeśli nawet jakimś cudem nasz prekariusz wywalczy zasiłek, to jego wysokość jest śmiesznie niska. Przeciętny Polak tracąc zatrudnienie, momentalnie traci więc grunt pod nogami. Według wspomnianego raportu OECD Employment Outlook 2014, przeciętny zasiłek wynosi w Polsce...

19 proc. ostatniej pensji. Nietrudno się domyślić, że jesteśmy na szarym końcu wśród państw tej organizacji. W Czechach zasiłek wynosi 32,5 proc. ostatniej pensji, a na Węgrzech 33,7 proc. Nie wspominając już o Finlandii (79 proc.) czy Niemczech (62,7 proc.).

Ale cóż właściwie z tego, że tak się daliśmy sprekaryzować – mógłby ktoś zapytać. Co złego w poddaniu się reżimowi elastyczności? Otóż bardzo wiele. Reżim elastyczności i tymczasowości niesie ze sobą mnóstwo negatywnych skutków zarówno społecznych, jak i, wbrew pozorom, także ekonomicznych. Ludzie pozbawieni elementarnej stabilności nie są w stanie planować życia, odkładają na święty nigdy założenie rodziny, a także zaniedbują działalność obywatelską – nie mają na nią po prostu siły psychicznej, ochoty ani czasu, który w związku z niestabilnym zatrudnieniem jest poszatowany i trudno mieć nad nim kontrolę. Na prekaryzacji cierpią więc zarówno demografia, jak i demokracja. Prekariusze nie są też w stanie planować rozwoju zawodowego, gdyż nigdy nie wiedzą, jakie umiejętności będą im potrzebne np. za rok. W oczywisty sposób traci na tym tzw. krajowy kapitał ludzki. Poszerzanie kompetencji jest w takiej sytuacji obarczone sporym ryzykiem – może się okazać tylko stratą czasu, który lepiej wykorzystać na poszukiwanie nowych zleceń lub branie dodatkowych ponad normę, na wypadek przestoju w przyszłości. Żyjący w stałym napięciu, prekariusze tracą także ochotę na obcowanie z kulturą wysoką czy rozwijanie bliskich relacji z przyjaciółmi. To zaś prowadzić może do spadku kapitału kulturowego czy wręcz do społecznej anomii. Niektóre z tych zagrożeń jeszcze przed nami (w końcu jesteśmy prekaryzowani dopiero kilkanaście lat), ale wiele z ich symptomów możemy dostrzec już dzisiaj. Problemy demograficzne czy brak zaufania społecznego, to diagnozy stawiane w debacie publicznej tak często, że nawet nie ma sensu ich powtarzać. Warto jednak pamiętać, że są one wynikiem m.in. panującego w naszym kraju reżimu elastyczności. Elementem tego samego obrazka jest inny fakt, który całkiem niedawno wyszedł na światło dzienne: aż 60

proc. Polaków w wieku 18-34 lat mieszka z rodzicami. Unijna średnia wynosi 48 proc.

Równie długo można wymieniać negatywne skutki prekaryzacji w sferze gospodarczej. W społeczeństwie prekariuszy spadają wydajność i jakość pracy, a przecież paradoksalnie właśnie zwiększeniem efektywności motywowane jest uelastycznianie zatrudnienia. Pracownicy nie mają motywacji, by poszerzać swoje kompetencje w danym miejscu zatrudnienia, skoro za 2 miesiące mogą być już gdzie indziej. Do tego pracownik żyjący w ciągłym napięciu i niepewności pracuje mniej wydajnie. A że polscy pracownicy żyją w napięciu, to wiemy choćby z nieocenionego OECD Employment Outlook – pod względem odczuwania stresu w pracy Polska znów jest w niechlubnej czołówce. Aż 53 proc. polskich pracowników stresuje się w pracy. Przed nami są jedynie Grecja (58 proc.) i Turcja (67,5 proc.). W europejskich krajach o najwyższej wydajności ten odsetek drastycznie spada – w Finlandii wynosi 22,1 proc., w Norwegii 18,2 proc., a w Szwecji zaledwie 14,7 proc.

Elastyczne zatrudnienie może być też przeszkodą dla rozwinięcia się w kraju bardziej skomplikowanej działalności gospodarczej, nastawionej chociażby na produkcję wysokiej techniki czy innowacje. Do tego celu niezbędne jest nie tylko planowanie w dłuższym terminie, ale też wieloletnie budowanie zespołu zdolnego do podejmowania wymagających wyzwań. Tymczasem reżim elastyczności skłania raczej do zarabiania na ograniczaniu liczby ludzi na zmianie, niż do poszukiwania nowych produktów. Nasza skrajnie nieinnowacyjna gospodarka jest tego doskonałym przykładem. Pod względem liczby patentów europejskich udzielonych przez EPO, wynik naszego kraju jest bez mała zawstydzający. W roku 2013 Polska była autorem... 95 patentów. W rankingu państw jesteśmy między Barbadosem (100) a Wyspami Dziewiczymi (84). Na tle takich państw jak Niemcy (13425 patentów), Francja (4910) czy Włochy (2353) wynik Polski wygląda jak pomyłka drukarska.

Elastyczność zatrudnienia nie leży w interesie ani

społeczeństwa, ani gospodarki, a już na pewno nie samych zatrudnionych. Oczywiście wciąż będziemy jednak poddawani „proelastycznej” propagandzie, która będzie nam próbowała wmawiać, że to wszystko dla naszego dobra, że dzięki temu staniemy się nowocześni i dorośniemy do wymagań współczesnej gospodarki, a kariera zawodowa dzięki umowie zlecenie stanie przed nami otworem. To nieprawda. Zamiast rozwoju osobistego dostaniemy degradację psychiczną i kulturową, a zamiast kariery kolejne kilka lub kilkanaście lat na śmieciowie. Wiedząc to wszystko, wystrzegajmy się umów śmieciowych jak ognia. Jeśli tylko mamy jeszcze możliwość trochę dłuższego poszukiwania pracy, to nie podpisujemy umowy cywilnoprawnej, a jeśli już sytuacja nas do tego zmusi, to jak najszybciej z niej uciekajmy. Nie dajmy sobie wmówić, że lepsza praca na umowie cywilnoprawnej niż żadna. Nie dajmy się sprekaryzować.

Autor: Piotr Wójcik

Źródło: [Nowy Obywatel](#)